

JACK REACHER

LEE CHILD

ANDREW CHILD

LEPIEJ JUŻ UMRZEĆ



**NOWOŚĆ
2022**

ALBATROS

Tytuł oryginału:
BETTER OFF DEAD

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey

Zdjęcia na okładce: © Alamy/BE&W (*opuszczona osada*),
© Stephen Mulcahey (*postać*),
© plainpicture/Sarah Eick/The Rauschen Collection (*samochód w centrum*),
© Luana Rigolli/Getty Images (*samochód po lewej*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zastugi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Zajął pozycję pod latarnią o jedenastej wieczorem, zgodnie z umową.

Latarnię znalazł bez trudu, tak jak mu powiedziano. Stała na samym końcu kompleksu, niecałe dwa metry od wystrzępionej metalowej siatki, która oddzielała Stany Zjednoczone od Meksyku i jako jedyna wciąż się paliła.

Przyszedł sam. Nieuzbrojony.

Zgodnie z umową.

Samochód pojawił się dwie minuty później, w przejeździe między równoległymi rzędami garaży. Garaże też były metalowe. Wypaczone przez słońce dachy, wyszorowane przez piasek ściany. Pięć garaży po prawej stronie. Cztery po lewej. A trzy metry dalej szczątki jeszcze jednego, skorodowanego i rozwalonego, jakby przed laty coś w nim wybuchło.

Samochód miał jaskrawe światła, więc trudno było rozpoznać markę i model. I zobaczyć, kto nim jedzie. Zatrzymał się cztery i pół metra od latarni, przez chwilę

kołysał się na dobitych resorach i w końcu osiadł na nich w chmurze piaszczystego pyłu. Otworzyły się przednie drzwi. Lewe i prawe. Wysiadło dwóch mężczyzn.

Niezgodnie z umową.

Po chwili otworzyły się tylne. I wysiadło jeszcze dwóch.

Nie tak się umawiali. Zdecydowanie.

• • •

Mężczyźni zmierzili wzrokiem wielkoluda stojącego pod latarnią. Uprzedzono ich, że facet będzie duży, a nie ulegało wątpliwości, że ten taki jest. Metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Sto piętnaście kilogramów wagi. Piers jak szafa pancerna, ręce jak łyżki do koparki. Robił wrażenie niechluj. Miał rozczochrane grube, szorstkie włosy, kilkudniowy zarost i był w źle dopasowanym tanim ubraniu. Za to w całkiem porządnym butach. Jak coś w rodzaju formy pośredniej między włóczęgą a neandertalczykiem. Nikt, kogo ktoś będzie szukał.

Kierowca, pięć centymetrów niższy i dwadzieścia pięć kilogramów lżejszy od tego pod latarnią, zrobił krok do przodu. Był w czarnych džinsach, czarnym podkoszulku bez rękawów i czarnych wojskowych butach. Choć miał ogoloną głowę, ukrywał twarz pod pełną brodą. Dołączyła do niego pozostała trójka.

– Masz kasę? – rzucił.

Rozczochrana włóczęga poklepał się po tylnej kieszeni spodni.

– Dobra. – Kierowca wskazał samochód. – Na tylne siedzenie. Wskakuj.

– Po co?

– Zawiozę cię do Michaela.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Jak nie tak, jak tak?

Wielkolud pokręcił głową.

– Miałeś mi powiedzieć, gdzie on jest.

– Powiedzieć, pokazać. Co to za różnica?

Włóczęga milczał.

– No? Na co czekasz? Dawaj kasę i wskakuj.

– Umowa to umowa. Chcesz kasę, powiedz, gdzie jest Michael.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Umowa się zmieniła. Jedziesz albo spadasz.

– No to spadam.

– Dość tego pieprzenia. – Kierowca sięgnął za siebie i wyjął zza paska pistolet. – Wsiadaj.

– Od początku nie zamierzaliście mnie do niego zawieźć.

– Co ty powiesz, Sherlocku!

– Chcieliście mnie zawieźć gdzie indziej. Do kogoś, kto ma wielką ochotę o coś mnie spytać...

– Dość gadania. Do samochodu.

– Co znaczy, że nie możesz mnie zastrzelić.

– Co znaczy, że nie mogę cię zabić. Na razie. Ale w każdej chwili mogę cię postrzelić.

– Naprawdę? – spytał wielkolud.

• • •

Naoczny świadek zeznałby, że włóczęga prawie się nie poruszył, mimo to w ułamku sekundy udało mu się zmniejszyć dzielącą ich odległość, chwycić kierowcę za nadgarstek i podnieść mu rękę. Podniósł ją aż nad głowę, gwałtownym szarpnięciem, jak dumny rybak, który wyciąga z morza wielką rybę. Zadarł ją tak wysoko, że kierowca musiał stanąć na palcach. A potem lewą pięścią grzmotnął go w bok. Mocno – taki cios powaliłby każdego – i bardzo długo trzymał go w pozycji horyzontalnej. Tyle tylko, że kierowca nie upadł. Nie mógł. Bo wisiał w powietrzu. Bo ziemia umknęła mu spod nóg. Upuścił pistolet. Miał zwichnięte ramię. Maksymalnie napięte ścięgna. Pęknięte żebra. Doznał mnóstwa paskudnych urazów, z których każdy coraz bardziej go osłabiał. Ale on prawie tego nie zauważał, ponieważ cała górna część jego ciała zwijała się z bólu promieniującego z jednego miejsca, punktu leżącego poniżej pachy, gdzie tuż pod skórą kryła się płatanina nerwów i węzłów chłonnych zmiażdżonych potężnymi kłykciami wielkoluda.

A ten podniósł z ziemi pistolet i zaniósł kierowcę do samochodu. Nie zważając na jęki ciężko sapiącego i skręcającego się z bólu mężczyzny, położył go na zmatowiałej masce i spojrzał na trzech pozostałych.

– Lepiej odejdźcie – powiedział. – Dopóki macie okazję.

Z szeregu wystąpił ten stojący w środku. Mniej więcej

tęgo samego wzrostu co kierowca, może odrobinę szerszy w ramionach. Krótko ostrzyżony i bez brody, na szyi miał trzy grube srebrne łańcuchy.

– Miałeś fart – rzucił z jadowitym uśmiechem. – Ale to się już nie powtórzy. Wsiadaj do samochodu, bo zrobimy ci krzywdę.

– Serio? Wy też?

Włóczęga nie drgnął z miejsca. Widział, jak tamci wymieniają płochliwe spojrzenia. Pomyślał, że jeśli są sprytni, postawią na taktyczny odwrót. A jeśli są naprawdę dobrzy, zaatakują razem. Najpierw jeden spróbuje zejść go od tyłu, udając, że chce sprawdzić, co z kierowcą. Albo że zrezygnował z walki i woli wsiąść do samochodu. A nawet uciec. A dwóch pozostałych zostanie, żeby odwrócić od niego uwagę. I kiedy tamten zajmie już właściwą pozycję, rzucą się całą trójką. Jednocześnie, z trzech stron naraz. Jeden na pewno oberwie. Może dwóch. Ale trzeci może mieć szansę. I znaleźć jakąś lukę. Pod warunkiem że będzie umiał ją wypatrzeć i wykorzystać.

Tyle że nie byli sprytni. Ani dobrzy w swoim fachu. Nie wycofali się. Nie spróbowali go okrążyć. Nie zrobili nic, zdając się najwyraźniej na tego z łańcuchami na szyi, który sam jak palec podszedł jeszcze bliżej i przyjął pozycję rodem ze sztuk walki. Wydał przenikliwy pisk. Zamarkował cios w twarz. A potem wyprowadził cios właściwy, w splot słoneczny. Olbrzym odparował go zewnętrzną stroną lewej ręki, a prawą uderzył w biceps, wysuniętym kłykiem środkowego palca. Napastnik

przeraźliwie krzyknął i odskoczył do tyłu z przeciążonym nerwem pachowym i chwilowo bezużyteczną ręką.

– Lepiej odejść – powtórzył wielkolud. – Bo zrobisz sobie krzywdę.

Mężczyzna skoczył do przodu. Tym razem nie próbował niczego markować. Po prostu skręcił się jak sprężyna i wyprowadził zamaszysty cios zdrową ręką. Włóczęga odchylił się do tyłu, odprowadził wzrokiem przelatującą tuż obok pięść, po czym wbił sterczący kłykieć w jego mięsień trójgłowy. Obie ręce napastnika były teraz wyłączone z walki.

– Odejść – rzucił po raz trzeci wielkolud. – Dopóki możesz.

Ale tamten nie odszedł. Podniósł prawą nogę. Najpierw udo, potem stopę. Błyskawicznie, z potężną siłą. Celował w krocze, lecz cios nie dosięgnął celu, ponieważ olbrzym zablokował go kopniakiem. Bardzo podstępny. Prostym i niskim. Trafił w goleń w chwili, gdy noga przeciwnika osiągnęła maksymalną prędkość. Kość kontra czubek buta. Buty olbrzyma. Jedyna przyzwoita rzecz, jaką miał. Kupione przed laty w Londynie. Kilka warstw skóry, kleju i pasty. Zahartowanych przez czas i żywioły. Twardych jak stal.

Tamtemu pękła kość. Przeraźliwie krzyknął i odskoczył do tyłu. Stracił równowagę i nie mógł jej odzyskać bez pomocy rąk. Dotknął stopą ziemi. Końce kości zetknęły się w miejscu pęknięcia. Zazgrzytały. Całą nogę zalała fala bólu. W ogniu stanęły wszystkie nerwy. Organizm

nie mógł tego znieść i napastnik stracił przytomność. Utrzymał się na nogach jeszcze pół sekundy, po czym runął na plecy jak powalone drzewo.

Pozostałych dwóch ruszyło do samochodu. Minęli przednie drzwi, minęli tylne. Przystanęli. Odskokczyła kłapa bagażnika i jeden zniknął z pola widzenia. Ten niższy. Po chwili ukazał się ponownie. W rękach miał coś, co wyglądało jak dwa kije baseballowe, tyle że dłuższe. Grubsze i bardziej kwadratowe na końcach. Trzonki do siekiery. W sprawnych rękach bardzo skuteczne narzędzie. Podał jeden kumpłowi, wyszli zza samochodu i przystanęli półtora metra przed wielkoludem.

– A gdybyśmy tak połamali ci nogi? – Ten wyższy oblizał usta. – Wciąż mógłbyś gadać, ale chodzić już nie, chyba że o lasce. Dlatego przestań z nami pogrywać i wsiadaj. Szybko.

Olbrzym nie widział potrzeby kolejnego ostrzeżenia. Od początku stawiał sprawę bardzo jasno i uczciwie. To oni postanowili podnieść stawkę.

Ten niższy chciał wziąć zamach, lecz zrezygnował. Inicjatywę przejął jego kumpel. On zamach wziął. Potężny, wsparty ciężarem całego ciała. Co z tego rodzaju bronią jest bardzo złą techniką. Poważnym błędem. Bo wystarczyło, że włączęga zrobił krok do tyłu, i koniec ciężkiego drewnianego trzonka przeleciał ze świstem kilka centymetrów od jego brzucha i szerokim łukiem poszybował dalej – miał za duży impet, żeby mężczyzna mógł go zatrzymać. Poza tym napastnik

ściskał go obiema rękami, odsłaniając tym samym głowę. I tułów. Oraz kolana. Cały wachlarz kuszących celów, dostępnych i zupełnie niechronionych. Każdego innego dnia wielkolud mógłby wybierać i przebierać, lecz tym razem nie miał na to czasu, ponieważ jego przeciwnik zdołał się chwilowo wywinąć. Dzięki swojemu niższemu kumpłowi, który postanowił posłużyć się trzonkiem jak włócznią i dźgnąć włóczęgę w brzuch. Pierwsze dźgnięcie było za krótkie i miało jedynie odwrócić jego uwagę. Drugim chciał go odstraszyć, odeprzeć. A potem skoczył do przodu. Postawił wszystko na jedną kartę i mógłby wygrać, gdyby natychmiast przystąpił do ataku. Gdyby nie zdradził swoich zamiarów, zapierając się mocno jedną nogą o ziemię. Dlatego zanim wyprowadził kolejne dźgnięcie, wielkolud wiedział już, co się szykuje. Szybko przesunął się w bok. Chwycił trzonek w połowie jego długości. I szarpnął. Mocno. Napastnik poleciał do przodu i dopiero po dobrym metrze zorientował się, w jakie wpadł tarapaty. O wiele za późno. Jego los był już przesądzony. Włóczęga wyrwał mu trzonek z rąk, wziął potężny zamach i grzmotnął go prosto w głowę. Mężczyzna przewrócił oczami. Zwiotczał, nogi się pod nim ugięły i upadł bezwładnie na ziemię. Nie ulegało wątpliwości, że prędko nie wstanie.

Ten wyższy zerknął w dół. Zobaczył, w jakim stanie jest jego kumpel. I też się zamachnął, tyle że z drugiej strony, celując w głowę. Zamach bardziej morderczy niż ten poprzedni, bo podsycany chęcią zemsty, a może

nadzieją na przeżycie. I spudłował. Znowu. I znowu się odsłonił. Lecz tym razem uratowało go coś innego. Jako ostatni z czwórki napastników stał jeszcze na nogach. Był jedynym dostępnym źródłem informacji. Miał teraz wartość strategiczną. Dzięki czemu dostał szansę na kolejny zamach, którą skwapliwie wykorzystał. Wielkolud odparował cios, lecz napastnik nie zaniechał ataku. Przeciwnie, zaczął wymachiwać trzonkiem w lewo i w prawo jak oszalały drwal. Wyprowadził kilkanaście ciosów i w końcu opadł z sił.

– Pieprzyć to. – Rzucił trzonek. Sięgnął za siebie. I wyjął pistolet. – Sram na wasze pogaduszki. I na to, żeby wziąć cię żywcem.

Zrobił dwa kroki do tyłu. Powinien był zrobić trzy. Nie wziął pod uwagę długości rąk przeciwnika.

– Po co ten pośpiech? – Włóczęga lekko machnął trzonkiem i pistolet pofrunął jak ptak. Wielkolud podszedł bliżej i chwycił mężczyznę za szyję. – Sam nie wiem, może jednak się przejedziemy. Bo ja też mam kilka pytań. Mógłbyś na przykład...

– Stój!

To był kobiecy głos. Pewny siebie. Rozkazujący. Dochodził z cienia pod prawym rzędem garaży. Na scenie wydarzeń pojawił się nowy aktor. Włóczęga przyszedł tu o ósmej, trzy godziny przed czasem, i przeszukał każdy centymetr kwadratowy kompleksu. Był przekonany, że teren jest zupełnie czysty.

– Puść go. – Z ciemności wychynęła niewyraźna

sylwetka. Kobieta. Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Szczupła. Lekko utykająca. W jej wyciągniętych przed siebie rękach dostrzegł kształt czarnego, matowego pistoletu. – Odsuń się.

Zastygł w bezruchu. Nie zwolnił uścisku.

Kobieta zawahała się. Między nią i nim tkwił jeden z napastników. W fatalnym miejscu. Ale był piętnaście centymetrów niższy od włóczęgi. I stał trochę z boku. Co podsunęło jej cel. Kawałek piersi wielkoluda. Prostokąt o wymiarach piętnaście na dwadzieścia pięć centymetrów. Doszła do wniosku, że jest całkiem spory. I znajduje się mniej więcej tam, gdzie trzeba. Wzięła głęboki oddech. Łagodnie wypuściła powietrze. I pociągnęła za spust.

Olbrzym upadł na plecy. Z szeroko rozłożonymi rękami, zgiętym kolanem i głową zwróconą w stronę granicznej siatki. Leżał zupełnie nieruchomo, w rozdartej, obszarpanej koszuli. Choć nie doszło do rozprysku tętniczego, pierś miał śliską, mazistą i czerwoną. Nie biło mu serce. Nie wykazywał żadnych oznak życia.

• • •

Schludny, starannie wypielęgnowany plac, zwany teraz rynkiem, porastały kiedyś drzewa. Orzechowce. Rosły tam spokojnie od wielu stuleci. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku pewien handlarz kursujący regularnie między Meksykiem i Kalifornią przystawał w ich cieniu, aby dać odpocząć mułom. Ponieważ zagajnik bardzo mu się podobał, zbudował tam chatę. A gdy był

już za stary na handlową włóczęgę, sprzedał muły i osiadł tam na stałe.

W jego ślady poszli inni. Wokół chaty wyrosła wioska. Wioska zmieniała się w miasto. Rozrastające się zachłannie miasto podzieliło się na pół niczym komórka. Obie połowy kwitły. Jedna na południu. Druga na północy. Przeżyły wiele lat stabilnego rozwoju. Aż nadeszła stagnacja. A potem upadek. Smutny, powolny i niepowstrzymany. I nagle, pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku, miasta otrzymały nieoczekiwany zastrzyk wzmacniający. Zawitała tam armia mierniczych. Potem armia robotników. Budowlańców. Inżynierów. Pojawili się nawet artyści, malarze i rzeźbiarze. Wszystkich przysłała WPA*, rządowa organizacja nadzorująca program pracy dla bezrobotnych.

Miejscowi nie wiedzieli, dlaczego wybrano akurat to miasto. Niektórzy twierdzili, że przez pomyłkę. Że jakiś biurokrata źle zinterpretował odgórne polecenie i przekazał środki nie tam, gdzie trzeba. Inni utrzymywali, że ktoś ze stolicy wisiał przysługę burmistrzowi. Ale bez względu na to, jak było naprawdę, nikt nie zaprotestował. Bo jak mógł protestować, skoro zaczęto budować nowe drogi? Nowe mosty i wszelkiego rodzaju gmachy. Projekt kontynuowano przez wiele lat. Pozostawił po sobie trwały ślad. Tradycyjne łuki budowane z suszonej na słońcu cegły przybrały trochę bardziej kanciasty kształt. Otynkowane

* Skrót od Works Progress Administration.

fasady domów stały się trochę bardziej jednolite. Ulice trochę bardziej uporządkowane. Przybyło też sporo różnych udogodnień. Szkół. Biur. Remiz strażackich. Zbudowano posterunek policji. Gmach sądu. Muzeum. I centrum medyczne.

Państwowe pieniądze z czasem się skończyły i po latach liczba mieszkańców spadła. Część obiektów się zestarzała. Część sprzedano. Inne zburzono. Ale centrum medyczne przetrwało i wciąż było głównym źródłem zdrowia dla ludzi mieszkających w promieniu wielu kilometrów od miasta. Mieścił się tam gabinet lekarski. Apteka. Szpital na dwadzieścia cztery łóżka. Pawilon pediatryczny z hotelem dla rodziców, którzy nie chcieli rozstawać się z chorymi dziećmi. A dzięki hojności planistów Nowego Ładu – nawet kostnica. Ukryto ją dyskretnie w podziemiach. I to właśnie tam pracował doktor Houllier następnego dnia rano.

Miał siedemdziesiąt dwa lata. I całe życie służył miastu. Kiedyś należał do licznego zespołu medycznego, a teraz był tu jedynym lekarzem. Odpowiadał dosłownie za wszystko, od odbierania porodów, po leczenie kataru i diagnozowanie raka. Zajmował się również zmarłymi. Dlatego tak wcześnie przyszedł do pracy. Był na nogach od świtu, odkąd zawiadomiono go telefonicznie o strzelaninie na przedmieściach miasta. Takie coś na pewno przyciągnie uwagę. Wiedział o tym z doświadczenia. Spodziewał się gości. I to już wkrótce. Musiał się przygotować.

Na jego biurku stał komputer. Wyłączony, ponieważ

doktor wolał sporządzać notatki odręcznie. Dzięki temu lepiej wszystko zapamiętywał. Pomocny był przy tym specjalny formularz, który doktor osobiście zaprojektował. Nie należał do zbyt wyszukanych, lecz spełniał swoje zadanie. Był dużo lepszy od tych, które próbowały mu wcisnąć cudowne dzieciaki z Doliny Krzemowej. I co ważniejsze w tej szczególnej sytuacji, nie pozostawiał po sobie śladów elektronicznych. Doktor usiadł, podniósł pióro wieczne marki Mont Blanc – prezent od ojca z okazji ukończenia studiów – i zaczął spisywać rezultaty porannej pracy.

• • •

Nie było pukania do drzwi. Nie było powitania. Nie było żadnych uprzejmości. Po prostu otworzyły się drzwi i do kostnicy wszedł mężczyzna. Ten sam co zawsze. Czterdzieści kilka lat, mocno kręcone włosy, jasnobrązowy lniany garnitur. Chodził sprężystym krokiem, dlatego doktor Houllier nazywał go w duchu Żwawym. Nie znał jego nazwiska. I nie chciał go znać.

Żwawy zaczął od końca pomieszczenia. Od chłodni. Albo „spizarni”, jak nazywał ją doktor po latach zajmowania się trupami. Spizarnia składała się z pięciu komór zabezpieczonych stalowymi drzwiami. Żwawy podszedł do niej i uważnie obejrzał wszystkie dźwignie. Ale żadnej nie dotknął. Nigdy ich nie dotykał. Potem przystanął przy stole autopsyjnym na środku sali i przyjrzał się rzędowi stalowych wózków stojących pod

ścianą obok autoklawu. W końcu podszedł do biurka.

– Telefon. – Wyciągnął rękę.

Houllier podał mu komórkę.

Mężczyzna w lnianym garniturze sprawdził, czy aparat nie ma włączonego dyktafonu, schował go do kieszeni i odwrócił się do drzwi.

– Czysto! – zawołał.

Wtedy do kostnicy wszedł ten drugi. Doktor nazywał go Modliszką, ponieważ ilekroć widział jego długie, chude kończyny, kanciasty tułów i wyłupiaste oczy, zawsze stawał mu przed oczami ten właśnie owad. Tym bardziej że mężczyzna miał na policzku dużą, trójkątną bliznę po oparzeniu, a u prawej ręki brakowało mu trzech palców, co sprawiało, że jego dłoń przypominała szczypce. Houllier znał jego imię i nazwisko. Waad Dendoncker. Wszyscy mieszkańcy miasta je znali, nawet ci, którzy nigdy nie mieli z nim do czynienia.

Za Dendonckerem wszedł trzeci, trochę podobny do Żwawego. Wolał jednak ciemniejsze garnitury i jego włosy nie były tak kręcone. Twarz miał tak nijaką i poruszał się w tak bezpłciowy sposób, że doktor nie znalazł dla niego odpowiedniego przezwiska.

Dendoncker przystanął na środku kostnicy. W jaskrawym górnym świetle jego jasne włosy były prawie niewidoczne. Obrócił się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni, uważnie lustrując pomieszczenie. W końcu przeniósł wzrok na doktora Houlliera.

– Pokaż – rzucił.

Doktor podszedł do spiżarni. Zerknął na zegarek, nacisnął dźwignię otwierającą środkowe drzwi i wyciągnął półkę z przykrytym prześcieradłem ciałem. Dużym. Długim. Niemal tak długim jak półka, na której spoczywało. I szerokim. Ramiona ledwo mieściły się w prześwicie komory. Houllier powoli odsłonił głowę. Głowę mężczyzny. O rozczochranych brudnych włosach. I pobrużdżonej bladej twarzy. Oczy były zaklejone taśmą.

– Odsuń się. – Dendoncker odepchnął lekarza na bok, ściągnął prześcieradło i rzucił je na podłogę.

Ciało było nagie. Jeśli Dawid Michała Anioła miał uosabiać męskie piękno, to leżący mężczyzna mógł być następnym z tej samej serii. Tyle tylko, że z drugiego końca spektrum. Nie miał w sobie nic eleganckiego. Nic delikatnego. Była w nim jedynie siła i brutalność. Czystość i prostota.

– To go zabiło? – Dendoncker wskazał ranę na piersi. Lekko wybrzuszoną. O wystrzępionych szorstkich brzegach, które zaczynały już brązowieć.

– Na pewno nie umarł z lenistwa. – Houllier spojrzał na zegarek. – To gwarantuję.

– Postrzelono go nie pierwszy raz. – Dendoncker wskazał blizny na prawej części piersi nieboszczyka. – No i jeszcze to.

– Blizna na brzuchu? – Doktor zerknął w dół. – Wygląda jak jakiś stwór morski. To pewnie od noża.

– Nie. Od czegoś innego.

– Na przykład od czego?

– Nieważne. Co o nim wiemy?

– Niewiele. – Lekarz podniósł prześcieradło i przykrył nim ciało łącznie z głową.

Dendoncker znów je ściągnął i rzucił na podłogę. Chciał jeszcze popatrzeć na największą z blizn olbrzyma.

– Rozmawiałem z szeryfem. – Houllier podszedł do biurka. – To jakiś włóczęga. Wynajmował pokój w Border Inn. Zapłacił z góry za cały tydzień, ale nie miał żadnych rzeczy osobistych. I był zameldowany pod fałszywym adresem. Przy Sto Sześćdziesiątej Pierwszej Wschodniej w nowojorskim Bronxie.

– Skąd pewność, że pod fałszywym?

– Bo znam ten adres. To stadion Jankesów. I facet używał fałszywego nazwiska. W księdze gości wpisał się jako John Smith.

– Smith? Może tak się nazywał?

Lekarz pokręcił głową. Wyjął z szuflady torebkę strunową i podał ją Dendonckerowi.

– Niech pan sam zobaczy. Znalazłem to w jego kieszeni.

Dendoncker otworzył torebkę i wyjął z niej paszport, zmięty i wytarty. Otworzył go na drugiej stronie, tej z danymi osobowymi.

– Jest nieważny.

– Co to za różnica? Chodzi o nazwisko. I zdjęcie. Jest stare, ale pasuje.

– Spójrzmy... Nazwisko: Reacher. Imię: Jack. Drugiego imienia brak. Narodowość: Amerykanin.

Miejsce urodzenia: Berlin, Niemcy Zachodnie. Ciekawe... – Dendoncker znów spojrzał na leżące przed nim ciało. Na bliznę na brzuchu. – Może wcale nie szukał Michaela. Może szukał mnie. W sumie to dobrze, że ta obłąkana suka go zabiła. – Wrzucił paszport do kosza na śmieci stojącego obok biurka. – Jakies spostrzeżenia?

Houllier podał mu swój specjalny formularz. Ten, który niedawno wypełnił. Dendoncker przeczytał każdą uwagę dwa razy, po czym zmiął dokument i też wrzucił do kosza.

– Trzeba to spalić. – Spojrzał na swoich pomagierów. – A wy pozbądźcie się ciała. Wyrzucicie je tam gdzie zawsze.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).